Zagórski, Włodzimierz / Kula, Marcin

Freyre czytany po upływie pięćdziesięciu lat : (w związku z książką Gilberto Freyre, Panowie i niewolnicy, tł. z portugalskiego Heleny Czajki, konsultacja Marcina Kuli, Warszawa 1983)

Przegląd Historyczny 75/1, 127-136

1984

Artykuł umieszczony jest w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych, tworzonej przez Muzeum Historii Polski w Warszawie w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego.

Artykuł został opracowany do udostępnienia w Internecie dzięki wsparciu Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego w ramach dofinansowania działalności upowszechniającej naukę.

MUZEUM HISTORII POLSKI

MARCIN KULA, WŁODZIMIERZ ZAGÓRSKI

Freyre czytany po upływ iepięćdziesięciu lat

(w związku z książką Gilberto Freyre, *Panowie i niewolnicy*, tłumaczenie z portugalskiego Heleny Czajki, konsultacja Marcina Kuli, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1983, s. 440.

Brazylia początku XX w. promieniowała optymizmem. Sukcesy w stosunkach z krajami ościennymi, pierwszy ambasador USA w Ameryce Łacińskiej przybywający właśnie do Brazylii, pierwszy latynoamerykański kardynał Brazylijczyk, sukcesy brazylijskiego męża stanu Rui Barbosy na konferencjach pokojowych w Hadze, sukces Santosa Dumont, Brazylijczyka, który w 1901 r. w samolocie okrążył Wieżę Eiffla w Paryżu — wszystko to pogłębiało ogólne wrażenie pomyślności. Plantacje kawy — źródło bogactwa kraju — zajmowały coraz większą powierzchnię. Brazylia zdawała się powtarzać doświadczenie rozwoju Stanów Zjednoczonych.

Złudne to było porównanie. Lata dwudzieste zaczęły się w atmosferze wyraźnego niepokoju o przyszłość gospodarczą. Za tym poszło zaktywizowanie sił uważających dotychczasowy układ polityczny za przestarzały. Niezadowolenie przejawiało się zwłaszcza wśród młodych wojskowych i wśród inteligencji. W łonie tej ostatniej charakterystyczne było pojawienie się pytania czym jest brazylijskość, swego rodzaju poszukiwanie własnych korzeni. Pisarze i artyści, którzy wzięli udział w „Tygodniu Sztuki Współczesnej" zorganizowanym w São Paulo w 1922 r. dali wyraz swemu dążeniu do oderwania się od wzorów europejskich, do „brazylianizacji Brazylii". Podobne tendencje wystąpiły w wielkich dziełach pisarskich epoki.

W omawianym nurcie mieścił się Gilberto Freyre gdy w 1926 r. wystąpił z koncepcją, iż cywilizacja brazylijska jest produktem trzech ras ludzkich: białej, czarnej i czerwonej — a nie tylko dziełem białych kolonizatorów. Tę tezę rozwinął z czasem w opublikowanej w 1933 r. książce „Casa Grande e Senzala".

Tytuł „Casa Grande..." jest trudny do przetłumaczenia. *Casa grande* była domem pana na niewolniczej brazylijskiej plantacji cukrowej; *senzala* — pomieszczeniem dla niewolników. W szeregu języków tytuł ten został przetłumaczony jako „Panowie i niewolnicy" („The Masters and the Slaves", „Padroni e Schiavi", „Maîtres et esclaves"). Wersja „Panowie i niewolnicy" dobrze oddaje treść książki w zasadniczej części poświęconej stosunkom między Białymi a Murzynami na plantacji trzciny cukrowej. Ponieważ jednak cywilizacja brazylijska w początkowym, zasadniczym okresie jej kształtowania się, powstawała niejako na marginesie produkcji cukru, książka jest czymś więcej: jest studium narodzin tej cywilizacji. Autor analizuje jak Portugalczycy, według niego obdarzeni szczególną zdolnością adaptacji do nowych warunków i kontaktów z innymi etniami, przystosowali się do tropików, swoje przystosowanie przekazali następnym pokoleniom i wespół z Murzynami stworzyli cywilizację, o której mowa. Cywilizację, którą Freyre, urodzony w jej kolebce (w Recife w stanie Pernambuco w 1900 r.), gdzie wkład Murzynów zaznaczył się najsilniej, zna jak mało kto.

Freyre w swej książce rehabilitował Murzynów. Indianie na ogół byli w Brazylii uważani za szlachetnych. Murzyni nie. Pisarz przypominał ich wkład. Nie przypadkowo poświęcił tyle miejsca roli Murzynek w seksualnym i rodzinnym życiu Białych. To, co Freyre powiedział o stosunkach seksualnych, a co wywołało równie dużo zgorszenia co zainteresowania wśród czytelników, było jakąś parabolą mającą ukazywać bliskość kontaktów nawet w najbardziej intymnych sprawach. Bliskość, którą Freyre chciał Brazylijczykom lat trzydziestych przypomnieć.

Ukazanie się „Casa Grande e Senzala" wzbudziło sprzeczne reakcje. Z jednej strony nurt, na którego tle ta praca się zrodziła osiągnął kulminację dopiero w 1938 r., podczas obchodów pięćdziesiątej rocznicy obalenia niewolnictwa. Z drugiej strony w 1933 r. sytuacja była już inna niż w okresie rozpowszechnionej frustracji lat dwudziestych. Nowe grupy, które doszły do władzy w 1930 r. zmierzały do modernizacji kraju, a modernizację tę rozumiały przynajmniej częściowo jako upodabnianie do Europy. W tej sytuacji przypomnienie afrykańskich korzeni brazylijskiej cywilizacji, przypomnienie Brazylijczykom, że są dziećmi Afryki w tym samym stopniu co dziećmi Europy, nie mogło być popularne.

Mimo początkowych sprzecznych reakcji, a może nawet atmosfery skandalu, książka Freyre stała się pozycją klasyczną. Do niedawna mało który badacz Brazylii, a zwłaszcza niewolnictwa w tym kraju, nie był pod jej wpływem. Książka miała bardzo liczne wydania. Dokonano jej tłumaczeń na różne języki (hiszpański 1942, angielski w Stanach Zjednoczonych 1946, francuski 1952, włoski 1965). Przedmowy do tłumaczeń pisali najwybitniejsi uczeni: Lucien Febvre do wydania francuskiego, Fernand Braudel do włoskiego. Tłumaczenia na francuski podjął się uczony tej miary co Roger Bastide, późniejszy autor również bardzo znanej książki „Les Réligions africaines au Brésil". F. Braudel poświęcił „Casa Grande..." osobny artykuł (1943).

Z czasem Freyre stał się osobą bardzo znaną, najbardziej chyba uznanym w świecie znawcą problematyki brazylijskiej. Wykładał na wielu uniwersytetach w Stanach Zjednoczonych (Columbia, Stanford, Yale, Harvard) i w innych krajach. Napisał jeszcze wiele książek (m. in. „Sobrados e Mucambos", 1936; „Brazil. An Interpretation", 1945; „Nordeste", 1951; „New World in Tropics", 1959; „Ordem e Progresso", 1959; „Dona Sinhá e o Filho Padre", 1964). Jak często wszakże bywa, jego wczesne wielkie dzieło pozostało największym.

Dobrze się stało, że książka Freyre została z inicjatywy prof. Jana Kieniewicza opublikowana w serii przedstawiającej klasyczne pozycje humanistyki światowej. Warto jednak zadać pytanie co z niej ostało się po pół wieku od napisania. Przeczytaliśmy ją oczyma biologa *(W. Z.)* oraz historyka i socjologa *(M. K.)*. Poniżej przekazujemy garść naszych uwag.

M. K.

*

Książka Freyre zawiera tezy, z którymi biologowi nie sposób się zgodzić. Co lepsze, źródłem tych tez jest postawa autora w pełni przez recenzenta akceptowana! Freyre jest antyrasistą. Ale jest antyrasistą, który poddał się rozumowaniu rasistów. Jedyne o co mu chodzi, to wykazanie, że rasa śródziemnomorska, choć ogólnie uznawana za „gorszą" od nordyckiej, jest „lepsza" w tropikach. Innymi słowy, walka toczy się o to kto jest übermenschem, a nie o to czy w ogóle übermensche istnieją. Freyre dyskutuje więc z Chamberlainem (swoją drogą, kto dziś w Polsce czytał tego filozofa tak istotnego w formowaniu myśli Hitlera?) przyjmując jego tezy za mające podstawy biologiczne! Zamiast po prostu zaatakować samą zasadę rasizmu, stara się wykazać, że zdolność adaptacyjna rasy śródziemnomorskiej jest taka, iż pod wpływem środowiska rasa ta zmienia się — i to w spo-

sób dziedziczny, przystosowując się doskonale do trudnych, tropikalnych warunków.

Zupełnie więc znienacka, w sposób niespodziany, na naszym rynku wydawniczym ukazuje się książka należąca do nurtu myślenia nazywanego w biologii pejoratywnie łysenkizmem, a grzeczniej — neolamarckizmem. A wydawało się już, że udało się nam pożegnać z tym tworem osobliwym i że po latach wytężonej pracy nauczycieli biologii różnego stopnia jakoś się tam, lepiej czy gorzej, naprawiło szkody umysłowe z nim związane. I nagle historycy, tym razem historycy zdecydowali się podjąć akcję faszerowania umysłu polskiego inteligenta owym produktem podejrzanej jakości. W dodatku — bez ostrzeżenia biednego czytelnika co za strawę umysłową mu się podaje. Niechże więc choć ta recenzja ostrzeże przynajmniej część zawodowych historyków: tezy biologiczne Gilberto Freyre, tezy, na których oparte są jego rozważania, są fałszywe! I na tym stwierdzeniu można by zamknąć tę recenzję. Kontynuujmy jednak.

Freyre, rozważając tworzenie się społeczności brazylijskiej próbuje znaleźć wytłumaczenie takiego, a nie innego przebiegu tego procesu w biologii — rozumianej wąsko jako genetyka i fizjologia. Oczywiście, wszystko co czyni człowiek, jest ostatecznie jego biologią — ale nie cała biologia człowieka oparta jest na genetyce. Sposób, w jaki przebiega ciąża, to że trwa około 9 miesięcy, że embrion ma takie, a nie inne elementy, ile ma rączek, a ile nóżek i że ząbki mu się kształtują w tym, a nie innym miejscu — określone są genetycznie. To jednak, czy owo dziecko będzie miało prawidłowo funkcjonujący układ immunologiczny, czy nie będzie miało wad wrodzonych, może wynikać z kultury, w której zanurzona jest jego matka. Może wynikać z tego, czy w danej kulturze kobiety w czasie ciąży palą papierosy, czy karmią dziecko piersią podczas kilku pierwszych miesięcy...

Obyczaj, kultura odciskają się na biologii człowieka — lecz tylko w pewnych granicach. Mały Murzynek, przeniesiony do Europy i chowany np. w okolicach Witowa nie zbieleje nawet gdy będzie codziennie karmiony doskonałym białym serem polanym śmietaną. Podobnie mały Polak, wywieziony do Konga i pędzony maniokiem, bananami oraz rozcierem z termitów, nie sczernieje od takiej diety. Co najwyżej zęby mu wypadną. Wpływ środowiska na organizmy żywe jest bowiem ograniczony. Środowisko nie wywołuje powstania w nas pewnych cech; pod jego wpływem tylko pewne cechy mogą się ujawnić, a inne nie. Potencjalny zespół cech zapisany jest w naszym materiale genetycznym — DNA. Ten zapis biolog nazywa genotypem. Pod wpływem środowiska z owego zespołu ujawnia się tylko pewien wybór cech — zwany fenotypem. Możemy genotyp — zapis informacji DNA — przyrównać do kilkunastu tomów „Grand Larousse'a". Zapisane jest w nich bardzo wiele wiadomości. Środowisko — to czytelnik, otwierający encyklopedię tylko na pewnych stronach, wykorzystujący tylko pewną subklasę wiadomości zawartych w encyklopedii. Wiadomości wykorzystane — to fenotyp. Środowisko — czytelnik — nie dowie się jednakże nigdy niczego więcej niż encyklopedia zawiera. Fenotyp ograniczony jest przez genotyp. W encyklopedii małego Murzynka nie ma informacji dotyczącej sposobu zrobienia białości skóry — więc przeniesiony w środowisko nawet najbardziej środkowo-europejskie nie zbieleje. Nie zbieleją też jego dzieci — jeśli będzie je płodził z czarnoskórą panienką. Bowiem to genotyp — pełny zapis cech zawarty w gonadach — jest przekazywany dziedzicznie, a nie fenotyp. Członkowie pierwszych wypraw polarnych, odżywiający się wyłącznie sucharami i konserwowanym mięsem, dostawali szkorbutu i tracili zęby — ale ich dzieciom ząbki się wyrzynały. W plemnikach bezzębnych tatusiów występowała bowiem informacja dotycząca sposobu wytworzenia zębów. Jeśli z kolei te dzieci jechały na Północ i też nie jadły witaminy C, to także zapadały na szkorbut — ale nie dlatego, że ich tatusiowie na tę chorobę cierpieli

Efekty awitaminozy, przez wiele lat stanowiące barierę w opanowaniu dalekiej Północy, nie miały charakteru dziedzicznego. Dzieci ludów północnych ani nie uzyskały zdolności do syntezy witaminy C, ani nie zaadaptowały się do jej braku. W genotypie człowieka brak jest zapisu umożliwiającego syntezę witaminy C (i innych witamin). To nie biologia, nie nabycie nowych cech przez polarników — a kultura, rozwój świadomości medycznej, racjonalne rozpoznanie źródeł szkorbutu, pozwoliła na taki dobór pokarmu, iż Polacy mogą dziś spokojnie zimować na stacji Arctowskiego. Inne tymczasem rzeczy podaje nam do wierzenia Freyre. Pisze on — co nie jest prawdą — że „środowisko fizyczne, a głównie biochemiczne *[biochemical content]* wykazuje tendencję do przetwarzania na swój obraz i podobieństwo nowoprzybyłych osobników różnego pochodzenia" (s. 14). Nie jest prawdą, jakoby skóra ludzka była receptorem — „czułą płytką" — odbierającą sygnały klimatyczne, które z kolei miałyby wpływać na gruczoły dokrewne, wywołując zmiany, i to dziedziczne, w organizmie. Poglądy takie Freyre opiera na pracy z 1909 r. autorstwa jakiegoś Leonarda Williamsa — postaci, o której dziś historia biologii w ogóle nie pamięta — a kończy je stwierdzeniem brzmiącym, jakby wyjęto je z ust Olgi Lepieszyńskiej: „Obecnie nikt nie wierzy już w teorię Weissmana o nieprzekazywaniu cech nabytych" (s. 212). Oczywiście, że wszyscy dziś dalej w tę teorię wierzą — a to dlatego, że jak dotąd nie przedstawiono ani jednego dowodu mogącego ją obalić. Jest za to wiele dowodów, iż cechy nabyte się nie dziedziczą. Dziedziczy się zapis, czyli genotyp — nie cechy ujawnione, czyli fenotyp.

Faktycznie, w latach trzydziestych, gdy Freyre pisał swoją książkę, rozgorzała dyskusja dotycząca dziedziczenia cech nabytych. Miała ona dramatyczny przebieg — zakończony samobójstwem Kammerera. O tym wiedeńskim biologu Freyre wspomina na s. 213, twierdząc jakoby jego doświadczenia nad zmianą barwy i obyczaju reprodukcji ptaków i gadów pod wpływem bodźca nowego środowiska były „przekonywające". Otóż o tych doświadczeniach opowiadał nam podczas wykładów z ewolucjonizmu Kazimierz Petrusewicz, sam będący w pewnym okresie zdecydowanym neolamarckistą; wskazywał je jako przykład tragedii zdarzającej się wówczas, gdy w umyśle przyrodnika hipoteza zaczyna dominować nad eksperymentem. Doświadczenia Kammerera dotyczyły mianowicie pojawiania się tzw. modzeli kopulacyjnych u żab. Samce żab wodnych posiadają na łapach zgrubienia zwane modzelami, służące przytrzymywaniu samicy podczas kopulacji. Żaby lądowe takich zgrubień nie posiadają. Kammerer założył, iż modzele są potrzebne do utrzymywania śliskiego ciała samicy w środowisku wodnym i postanowił hodować żaby lądowe w terariach o dużej wilgotności. Liczył, iż wykształci się u nich nowa cecha nabyta — modzele. Liczył też w dodatku, że potomstwo takich żab będzie dalej posiadało modzele gdy zostanie przeniesione w środowisko suche. Tak też się stało. Kammerer przedstawił swoje wyniki na dwóch kolejnych międzynarodowych zjazdach zoologicznych. Wzbudziły one taką kontrowersję, że wyłoniono specjalną komisję, mającą przebadać na miejscu — w wiedeńskim laboratorium Kammerera — przedstawiony na zdjęciach materiał doświadczalny. Przy oglądzie pod mikroskopem okazało się, że owe nieszczęsne modzele powstały w wyniku nastrzyknięcia pod skórę palców żab tuszu kreślarskiego. Następnego dnia rano znaleziono w parku, na ławce ciało Kammerera, który popełnił samobójstwo, strzelając sobie w głowę. Komisja dokończyła swą pracę i uznała, że za sfałszowanie wyników nie był odpowiedzialny bezpośrednio Kammerer, lecz jego zaufany, pracujący z nim od wielu lat laborant. Ten z kolei twierdził, jakoby wyłącznie „wzmacniał" tuszem pojawiające się cienie modzeli, by móc wykonać poprawnie zdjęcia. Zdaniem komisji po prostu pragnął, by doświadczenia jego profesora zostały uwieńczone sukcesem; produkował więc modzele tam, gdzie winny wystąpić zgodnie z hipotezą Kammerera. Dramat ten nie zakończył defini-

tywnie kwestii dziedziczenia cech nabytych. Jak wąż morski pojawia się ona co pewien czas. W 1981 r. w „Nature" opublikowano pracę dotyczącą dziedziczenia przeciwciał nabytych przez matkę. Redakcja zgodziła się na druk artykułu, poprzedzając go — co jest w tym piśmie rzeczą niesłychaną — gwałtownym atakiem na treść publikowanej pracy. Po roku okazało się, że znów mieliśmy do czynienia z fałszerstwem naukowym.

Błąd Freyre w kwestii dziedziczenia cech nabytych powtarza się w jego rozważaniach nad dietetyką i kształtowaniem się dziedzicznego (jego zdaniem) pokroju Brazylijczyka. W XIX w. mieszkańcy angielskich slumsów mieli krzywe nogi, bombiaste usta, wystające mostki, platfusy i jeszcze w dodatku łatwo się pocili. Te niewydolności nazywano nawet chorobą angielską. Dzieci opisanych osobników były obciążone takim samym zespołem dolegliwości. Tymczasem dziś coś takiego nazywa się krzywicą, wiadomo że polega na wadliwym uwapnieniu kośćca, wynikającym z istotnego w chłodnym klimacie braku witaminy D i wiadomo też (wystarczy popatrzeć na dzisiejszych Anglików), że nie jest to choroba dziedziczna. Niedożywienie, awitaminozy, prowadzą do odkształceń rozwojowych — znów — nieprzekazywanych dziedzicznie; fenotypowych, a nie genotypowych. Dzieci krzywicznych rodziców, potraktowane odpowiednimi dawkami witaminy D (lub dobrze odżywione) mają proste nóżki. Źle odżywiani, rachityczni rodzice, mogą być więc przodkami atletycznych dzieci; atletyczni rodzice — dzieci rachitycznych. W sumie „zdrowe i silne elementy ludności Brazylii" nie muszą pochodzić wyłącznie od „dobrze odżywionych murzyńskich niewolników z senzali" (s. 55).

Powtórzmy: środowisko nie wywołuje dziedzicznych zmian ukierunkowanych. Nie jest tak, jakoby żyrafa miała długą szyję dlatego, że ją wyciągała w kierunku liści z wierzchołka palmy i przekazała ów nabytek swojemu potomstwu. Ukształtowanie czy to żyrafy, czy człowieka przez środowisko biologiczne dokonało się już na poziomie naszych pra-przodków. W okres historyczny ludzie weszli odpowiednio wyposażeni genetycznie i w ciągu tych kilku tysięcy lat nie zmieniły się ich geny. Przekazywane są one z pokolenia na pokolenie zgodnie z prawami Mendla. Środowisko nie zmienia genów. Ono tylko przeprowadza selekcję: pewne geny, czy zestawy genów w pewnym środowisku mogą być korzystne, zaś w innych niekorzystne. Nosiciele zestawu genów niekorzystnych w danym środowisku będą nienajlepszym substratem społecznym. W wypadku człowieka ten typ rozumowania ma jednak też swoje ograniczenia.

Nasza ewolucja biologiczna trwa kilkaset tysięcy lat; nasza kultura dopiero kilka tysięcy. Nowe znaleziska dokonane na terenie Syrii kilka lat temu zmieniły nasze wyobrażenie o Neandertalczyku. Zdjęcia rekonstrukcji twarzy i całego ciała pokazują nam osobnika przypominającego współczesnego Europejczyka; wszystko wskazuje na to, że poprzednie rekonstrukcje, te znajdujące się w naszych podręcznikach szkolnych, były oparte na badaniu osobnika... ciężko zdeformowanego przez atretyzm. Stąd brały się pochylone czoło i głowa wtulona w ramiona. Nawiasem mówiąc, syryjskie wykopaliska doprowadziły do odkrycia kilkudziesięciu szkieletów — w tym jednego szkieletu dorosłego mężczyzny, który w młodości przeżył amputację nogi na wysokości kolana, a po operacji żył jeszcze kilkadziesiąt lat, niewątpliwie dzięki opiece grupy. Otóż jeśli Neandertalczyk nie różnił się od dzisiejszego Europejczyka swoim pokrojem, a więc i zestawem genetycznym, to stanowi to potężny argument, iż plastyczność człowieka, podbój przezeń nowych środowisk, kontynentów, zdolność do tworzenia nowych struktur politycznych, nie są związane ze zmianami w jego genotypie. Plastyczność wyrasta z czegoś odmiennego od prostego zestawu genów: z kultury, będącej produktem świadomości U ludzi genetyka jest zachowawcza — ale kultury są plastyczne. O tym nie należy zapominać.

W powyższym kontekście ostrożnie należy traktować rozważania Freyre, np. za Spenglerem twierdzącego, że „rasa nie przenosi się z jednego kontynentu na drugi, trzeba by z nią razem przenieść środowisko fizyczne" (s. 14). Jest to nieprawda. Rasy oczywiście mogą się przenosić z jednego kontynentu na drugi i pozostawać dalej sobą. W przypadku psów jest to jasne. Pekińczyki doskonale zniosły zmianę środowiska fizycznego i w Warszawie wyglądają dokładnie tak, jak w Nowym Jorku czy w Pekinie. Murzyni w Stanach Zjednoczonych są czarni, zaś Biali — biali. A przecież obie te rasy przenosiły się tu z odmiennych środowisk fizycznych. Tyle tylko, że w przypadku człowieka sytuacja nie jest równie prosta jak w wypadku psów. Po pierwsze definicja rasy jest dość trudna. Na pewno można mówić o trzech głównych grupach — białej, żółtej i czarnej. Pokrój przedstawicieli tych trzech wielkich grup jest wystarczająco odmienny. Jednocześnie jednak osobnicy należący do określonej grupy są wysoce zróżnicowani. Że Murzyni są wszyscy do siebie podobni wydaje nam się tylko dlatego, iż reagujemy na cechy podstawowe: kolor skóry, budowę włosa itd. Wiemy zarazem doskonale, że grupa Białych jest wysoce zróżnicowana; to samo dotyczy pozostałych grup. Pigmej i Massaj, choć obydwaj czarni, mają tak wiele różnych cech, iż trudno ich zaliczyć do jednej rasy. Z kolei w populacji Massajów też trafiają się niżsi ludzie, a wśród Pigmejów — wyżsi. Grupy ludzkie nie są ujednolicone genetycznie, bo nie prowadzi się wśród ludzi chowu wsobnego — jedynego — prowadzącego do tzw. „wyczyszczenia" genetycznego. Chów wsobny polega na rozmnażaniu braci z siostrami, potem łączeniu ich dzieci ze sobą itd. przez wiele pokoleń, aż wreszcie otrzymuje się osobniki homozygotyczne, gdzie każdy z potomstwa ma jednolite zestawy genetyczne — co właśnie jest rasą.

Europa nie jest podzielona na siedliska pekińczyków, bokserów, pinczerów itd. W obrębie każdej grupy etnicznej istnieją osobnicy o cechach zbliżonych do innych europejskich grup etnicznych dlatego, że populacje europejskie od dawna się ze sobą mieszają i uwspólniają wzajemnie pule genetyczne. Jeszcze raz: to kultura ewentualnie rozdzielała ludzi, a nie biologia. Mimo wszelkich barier pomiędzy Żydami Europy a chrześcijanami twierdzenie o różnych grupach krwi obu populacji jest fałszem.

Tak więc pojęcie rasy, którym operuje Spengler, a za nim Freyre, jest właściwie niejasne. Także dalsze rozważania oparte na tym pojęciu jasnymi nie są. To, że dzieci w Portugalii są jasnowłose, a po dorośnięciu mają włosy ciemne, nie jest „śladem rodowodu typu śródziemnomorskiego", stanowiącym jakoby dowód zmieszania się ras nordyckiej i pewno typu protoetiopskiego. Mieszanie się ras nie polega na dziedziczeniu rozumianym jako „zmieszanie krwi". Dlaczego mieszańcy nordyków i Czarnych winni mieć włosy przejściowo jasne, a nie przejściowo czarne? Ten sam zestaw genów, który decyduje o występowaniu karnacji jasnej, ciemniejącej w miarę dorastania, występuje np. u tubylców australijskich, na pewno nie będących mieszanką nordyka z etiopczykiem (ładną dokumentację tego można znaleźć w Musée de l'Homme w Paryżu). Źródłem omawianej pigmentacji nie jest „zmieszanie krwi białej i czarnej", a występowanie określonej serii genów, dominującej w danej populacji, a decydującej o przyczynie jasnego zabarwienia włosów.

Nie wolno twierdzić, jak czyni skądinąd walczący z rasizmem Freyre, jakoby „w zetknięciu z rasą zaawansowaną rozpoczyna się degradacja rasy opóźnionej" (s. 75), czy że „historia kontaktu tak zwanych ras wyższych z rasami uchodzącymi za niższe jest zawsze taka sama: zagłada lub upadek" (s. 92). Co właściwie znaczą takie twierdzenia? Czy długogłowość jest np. cechą zaawansowania rasowego? Czy też idzie tu o zetknięcie z kulturą zaawansowaną w jakiejś warstwie technicznej? Jeśli tak, to trudno się powstrzymać przed przypomnieniem (zwłaszcza historykom!), iż Rzym zniszczyły ludy o niższej kulturze rolniczej i pewno też duchowej.

W wielu wypadkach okupant, kolonizator, niekoniecznie reprezentuje bardziej zaawansowaną rasę czy kulturę niż lud podbity, a przecież to ten drugi zostaje stłamszony. Liczebność, siła materialna, warunkowany kulturowo brak skrupułów — to są czynniki decydujące o powodzeniu najeźdźcy, a nie jego wyższość i do tego jeszcze rasowa.

Nie wolno twierdzić jakoby określone grupy etniczne były przystosowane np. do lepszej adaptacji biologicznej do jakichś warunków. Twierdzi Freyre, iż Portugalczycy, już w poważnym stopniu zafrykanizowani, adaptowali się w Brazylii lepiej niż pozostali Europejczycy w tropikach i w tym upatruje tajemnicę ich sukcesu. Jest to teza naciągana. Ci sami Portugalczycy w innych rejonach tropikalnych należących do ich imperium kolonialnego nie stworzyli trwałych, jednorodnych, swoistych kultur. Na naszych oczach skończyła się obecność Portugalczyków w Angoli; konflikt etniczny trwał w Afryce w ciągu ponad czterech wieków i zakończył się odrzuceniem elementu białego. Z kolei w Afryce Południowej, Rodezji czy, powiedzmy, Algierii inne europejskie etnie zaaklimatyzowały się jakoś; jeśli opuszczały niektóre z państw afrykańskich, to następowało to w wyniku konfliktów politycznych, a nie działania praw biologicznych. Na pewno człowiek ukształtowany na Północy czuje się źle po przeniesieniu na Południe; jego mechanizm termoregulacji, zegar biologiczny, sposoby odżywiania się, dostosowane są do klimatu, w którym się uformował. I te sprawy nie są jednak dziedziczne. W następnym pokoleniu problem raczej się rozwiązuje. Dzieci wzrastające w nowym środowisku adaptują się do niego. „Sabry" izraelskie na Synaju nie były biologicznie upośledzone w porównaniu do Egipcjan.

Trudno się zgodzić z twierdzeniem jakoby u podstaw zaludnienia Brazylii tkwił jakiś nadzwyczajny popęd płciowy Portugalczyków, otaczanie się przez nich nałożnicami indiańskimi, tworzenie poligamicznych rodzin. Zgadzam się z tym, że prawdopodobnie po wylądowaniu portugalskiego galeonu z lasu wychodziły zaciekawione nimfy indiańskie, skłonne do kupczenia ciałem za kawałek lusterka lub grzebyk. Z punktu widzenia wzrostu liczby dzieci na kontynencie nic z takiego obrazka jednak nie wynikało. W lesie otaczającym owe wybrzeże, na którym wylądował galeon pozostawali bowiem panowie — Indianie, zdolni do wykonania podobnej roboty co nasi przybysze z Portugalii. Zastąpienie Indianina przez Portugalczyka (choćby jurnego jak byk z Alicante) nie skracało ani ciąży Indianki, ani nie podnosiło pewnie w znaczący sposób krotności porodów. W populacji ludzkiej samców wcale nie brakuje; nie ich ilość ogranicza rozród. Nie częstość stosunków płciowych, a częstość donoszonej ciąży i przeżywalność dzieci decydują o wzroście populacji. A przeżywalność dzieci to prosta funkcja właśnie kultury, zwłaszcza materialnej. Jeśli rzeczywiście gęstość zaludnienia Brazylii wzrosła, jak twierdzi Freyre, już w kilkadziesiąt lat po rozpoczęciu kolonizacji, to pewnie dlatego, że osady zorganizowane przez Białych dawały lepszą szansę przeżycia dzieciom. Swoją drogą skąd wiadomo, że ta gęstość rzeczywiście wzrosła? Może tylko nastąpiły początkowo raczej przesunięcia populacji? Kto ostatecznie policzył ilu Indian żyło w tym lesie w momencie lądowania Portugalczyków? Może tylko wzrosła ludność w osadach założonych przez kolonizatorów, którzy przywłaszczyli sobie kobiety Indian, a spadła w osiedlach indiańskich? Inna sprawa z tego samego kręgu zagadnień: czy związki osadników z Indianami były rzeczywiście wyrazem „prawdziwego doboru naturalnego" (s. 43)? Chyba raczej nie. Co to za dobór gdy dokonuje go tylko jedna strona — mężczyzna posiadający pełną przewagę fizyczną i ekonomiczną nad stadkiem kobiet? Nawet dość parszywy Portugalczyk mógł tu stać się patriarchą, bo rozporządzał siłą ekonomiczną. I znowu kultura, a nie biologia decydowała o płodności określonych związków.

W sumie więc książkę Freyre należy czytać ostrożnie. Jego odwołania się do genetyki i biologii rozrodu są często bezkrytyczne, część argumentów opartych na

tych rozważaniach jest fałszywa. Szkoda, że słuszne wnioski dotyczące tworzenia się cywilizacji brazylijskiej — synkretycznej kulturowo i rasowo — uznał autor za wskazane „wzmocnić" niezbyt udanymi rozważaniami o dziedziczności. W ogóle wydaje mi się, że historyk nie powinien w genetyce upatrywać siły motorycznej dziejów — choćby dlatego, że taka wersja rozwoju ludzkości byłaby tak deterministyczna — że aż brzydka.

W. Z.

Również historyk czy socjolog dziś czytający książkę Freyre nie może się zgodzić z wieloma jej tezami. Dowodząc, iż Murzyni byli elementem współtworzącym powstające społeczeństwo brazylijskie, Freyre powołuje jako ważny element argumentacji rzekomą łagodność tamtejszego systemu niewolniczego. Fakt jakoby był on właśnie łagodny i paternalistyczny miał sprawić, że nie degradował niewolników, pozwalając im zachować osobowość i odegrać rolę aktywną.

Wielu późniejszych autorów podjęło ten wątek. Twierdzili, że specyfika niewolnictwa w Brazylii miała jakoby płynąć z charakteru Portugalczyków od dawna nawykłych do kontaktów z obcymi kulturami, akcji państwa wyrażającej się w prawodawstwie, religii katolickiej łagodzącej jakoby — w odróżnieniu od protestantyzmu — stosunki międzyetniczne.

Jak w wypadku wielu innych twierdzeń Freyre teza o aktywnym uczestnictwie Murzynów w tworzeniu społeczeństwa brazylijskiego jest słuszna, ale została źle dowiedziona. Niewolnikom wszędzie mogło być lepiej lub gorzej w zależności od sytuacji, popytu na nich i podaży, rodzaju wykonywanej pracy i wielu innych czynników. Nic nie wskazuje jednak na to, by w Brazylii miało im być lepiej z zasady. Freyre mógł być zasugerowany tradycją stron rodzinnych. Jego młodość musiała jeszcze upływać wśród bardzo żywych wspomnień o niewolnictwie; urodził się wszak w 11 lat po jego obaleniu. W przeddzień abolicji i później Pernambuco przeżywało okres dekadencji. Mało prawdopodobne by w takim okresie i to wówczas, gdy abolicji powszechnie oczekiwano, rygory niewolnictwa ulegały zaostrzeniu. Freyre ma zaś tendencję do rozciągania swych wniosków na okresy znacznie szersze niż te, których istotnie źródła (nawet te pisane, w wielkiej ilości przezeń przerobione) dotyczą. Znacznie lepiej też widzi niewolników domowych niż polowych, a tym pierwszym na ogół wszędzie było lepiej. Czy to Freyre, czy jego rówieśnicy mogli się wśród nich wychowywać; w tym regionie wielu niewolników po abolicji pozostało w majątkach (bądź zmieniło jeden majątek na drugi) — gdyż nie mieli dokąd pójść poza sektorem cukrowniczym. Stosunki w pańskich domach rzeczywiście pewno przypominały stosunki ze służbą bardziej niż niewolnicze, a na dodatek tradycja patriarchalnej społeczności zacofanego wówczas regionu musiała idealizować minione czasy.

Sugestywne opisy nieszczęść będących udziałem niewolników pióra jezuitów ojców Vieiry (1633—1697), Antonila (1711) i Benci (1705), częstotliwość ich wezwań do lepszego traktowania Murzynów, nakazują jednak zakwestionować tezę o łagodności brazylijskiego niewolnictwa. W 1882 r. korespondent jednego z dzienników w Rio de Janeiro pisał, że gdyby coś w rodzaju „Chaty wuja Toma" zostało napisane w odniesieniu do Brazylii, to znalazłyby się tam rzeczy, o których się nie śniło H. E. Stowe. W ramach rzekomo paternalistycznych stosunków brazylijskich niewolnicy prawie się nie reprodukowali, podczas gdy reprodukowali się w Stanach Zjednoczonych, kraju o jakoby surowszym ustroju niewolniczym. Na ile zmienne było niewolnictwo brazylijskie i o ile bardziej jego rygory zależały od konkretnej sytuacji rynkowej niż od obyczaju i religii Portugalczyków, niech świadczy antynomia pomiędzy produkcją eksportową a produkcją wyżywieniową

kolonii. Było powszechnie znanym zjawiskiem, że w okresach dla kolonii dobrych, w okresach dobrej koniunktury cukrowej (mowa o XVI—XVII w.), niewolnikom było najgłodniej. Właściciele nie chcieli poświęcać środków na produkcję żywności akurat gdy mogli je przeznaczyć na robienie pieniędzy. Analogicznie sytuacja przedstawiała się w XVIII w.; zwłaszcza w początkach wydobycia złota w najbardziej złotodajnych regionach brakowało żywności dla niewolników — bo starano się ich wszystkich zatrudniać przy poszukiwaniu kruszcu.

A przecież dowiedzenie łagodności i paternalistycznego charakteru niewolnictwa w Brazylii wcale nie jest konieczne dla obronienia tezy o twórczym wkładzie Murzynów w tworzenie tamtejszego społeczeństwa. Po pierwsze współczesne badania (przykładowo G e n o v e s e g o) pokazują, że był on twórczy nawet tam gdzie niewolnictwo było surowe. Po drugie, jeśli nawet przyjąć, że w Brazylii udział Murzynów był aktywniejszy, to przyczyn można doszukiwać się w okolicznościach innych niż charakter samego niewolnictwa. Specyfika demograficzna kolonii portugalskiej nakazywała np. dopuszczenie Murzynów do pełnienia ról, których gdzie indziej nie mogli niejednokrotnie pełnić: nadzorców, rzemieślników, poszukiwaczy złota, nawet kupców czy wojskowych. Murzyni uczestniczyli w walkach portugalsko-holenderskich w XVII w., w walkach z Francuzami w XVIII w., w wojnie paragwajskiej w XIX w. Ich udział w poszukiwaniu złota czy diamentów pozwalał im nieraz wzbogacić się czy to uczciwą, czy nieuczciwą drogą. Wzloty i upadki gospodarki eksportowej — a taką była gospodarka brazylijska przez większość swej historii — ułatwiały wyzwalanie niewolników w gorszych okresach. Brak w Brazylii białych kobiet (sytuacja odmienna w porównaniu ze Stanami Zjednoczonymi, gdzie Biali osiedlali się całymi rodzinami) pociągnął wczesne pojawienie się znacznej liczby Mulatów, którego to faktu nie da się przecenić w analizie tworzenia się społeczeństwa brazylijskiego.

Jeśli z kolei owi Mulaci rzeczywiście byli — a wydaje się to prawdopodobne — elementem szczególnie dynamicznym społeczeństwa, to nie musiało się to tłumaczyć jakimś szczególnie uszlachetniającym doborem naturalnym (wynikającym jakoby z pociągu pana do niewolnic ładnych, młodych, zdrowych — i dalej w tym stylu), lecz ich sytuacją społeczną. To była grupa, która już mogła aspirować wyżej, a napotykała istotne przeszkody. Musiała więc dać z siebie coś ponad przeciętną, szukać nowych dróg, być dynamiczna. Zjawisko znane jest z historii wielu etnicznych grup imigranckich bądź mniejszościowych. Weźmy przykładowo stereotyp „Żydzi są mądrzy". Sprowadzony do dyskutowalnej postaci powinien on brzmieć inaczej, a mianowicie: „wśród ludności żydowskiej spotyka się stosunkowo duży procent ludzi mądrych". Prawdopodobieństwo słuszności owej obserwacji w tej postaci jest zaś — niezależnie od intencji tych, którym się nasunęła — istotne i jak najbardziej dające się wytłumaczyć. Oczywiście nie genami, czynnikami wrodzonymi, łaską Opatrzności czy pomysłem szatana, ale czynnikami historyczno-społecznymi. Członkowie grupy etnicznej znajdującej się w sytuacji mniejszościowej nieraz musieli — czy to dla utrzymania się na poziomie, czy dla wspięcia się w górę (a wspięcie się jest nieraz sposobem uniknięcia upadku) — sprawnie ruszyć rozumem. Rodzice wiedzieli że muszą tak wyposażyć dzieci w wiedzę czy umiejętności, by miały szanse pokonać większe niż napotykane przez innych opory. Mniej mądrzy mieli mniejsze szanse utrzymania się na powierzchni. W konsekwencji tworzył się akceptowany przez grupę wzór osobowy człowieka mądrego (sprawność myślowa ceniona, chwalona, pokazywana jako przykład), który był przekazywany z pokolenia na pokolenia — tyle że nie przez geny, lecz poprzez dziedziczenie kulturowe. Po latach zaś imigrantów przybywających do Izraela witał w Haifie — jeśli wierzyć dowcipowi — plakat „Tutaj nie będziesz mądry". Dowcip jak dowcip, motywacje tych, którzy go wymyślili niekoniecznie musiały być szlachetne, ale była w nim zawarta obserwacja socjologicznie sen-

sowna: w społeczeństwie, w którym grupa nie jest wyróżniona żadną cechą, rozkład ról zawodowych, społecznych, intelektualnych (w tym „mądrości") w jej granicach wyrównuje się z rozkładem istniejącym powszechnie, zmierza do przeciętnej. Zaś w przeciętnej mieszczą się lekarze i śmieciarze, mądrzy i głupi.

Z tezą Freyre o Mulatach jest tak, jak z większością jego tez: cała ta biologia i genetyka zdają się być powoływane niepotrzebnie, a wiedza historyczna zawiera mnóstwo idealizacji wynikającej z wiary w specyficzne cechy narodów.

M. K.

Cóż więc w sumie zostaje z książki Freyre po pół wieku od jej napisania? Pozostają szlachetne, humanistyczne, antyrasistowskie intencje, sporo prawdziwych i zarazem źle dowiedzionych tez, materiał do rozważań z zakresu historii nauki i przyjemność czytania. To nie tak mało.

M. K. i W. Z.